



Adam Cebula "Trochę mniejsza apokalipsa"

Adam Cebula



Foto: pexels.com

Powiedzmy to sobie jasno: dobra literatura rozrywkowa jest jak Twardowski – i śmieszy, i tumani, i przestrasza. Osobno warto się zastanowić, co Mistrz miał na myśli, pisząc „tumani” i nie ukrywam, że ręka mi drgnęła, nim uznałem, że trzeba i to słówko tu dodać.

Pewien znakomity pisarz napisał książkę „Rok 1984”. Mniejsza w tym miejscu o to, jaki miała ona związek z esejem rosyjskiego (radzieckiego???) dysydenta Andrieja Amalrika „Czy Związek Radziecki przetrwa do 1984 roku?”. Zauważmy, że oba te utwory narobiły hałasu przez swój katastrofizm. Oczywiście że z punktu obywatela ZSRR upadek reżimu był czymś w rodzaju pięknego marzenia, ale formalnie rzecz biorąc, chodzi o to, że coś się z hukiem rozwali. My, fantastycy, bardzo lubimy takie sceny.

Niestety prawda jest taka, że wcale nie miałem planu straszyć czy szokować, raczej śmieszyć. Jeśli człek siada do pisania czegoś na kształt felietonu (o ile wiem, co to jest), to trzeba wiele rozumu, żeby trwożyć i nie tumanić. Bo o to bardzo łatwo. Zaś to tumanienie w sztuce jest tylko wówczas dopuszczalne, gdy chce się zmusić odbiorcę do powrotu do rozumu. Gdy dojdzie do tego, że właśnie został otumaniony.

A to już bardzo wysokie progi, bo piszący musi prawdopodobnie przejść tę samą drogę. Jeśli chcesz postraszyć, zapuszczasz się na bardzo trudne ścieżki, możesz zbłądzić i nie tylko wyjść na durnia, ale jeszcze zanudzić ludzi, a to już jest tragedia ostateczna.

Myślę, że dla zmniejszenia siły szoku lepiej, paradoksalnie, zacząć od tej totalnej apokalipsy. Pytanie miłośnika SF jest takie: Czy w nadchodzącej organizacji świata będzie miejsce dla tzw. państw narodowych?

Skoro pytam, muszę mieć wątpliwości. Czemu są one zasadnicze? Wyjaśnienie będzie zawile, rozkręcające się od czegoś małego i nieważnego, niczym wspomnienia bohatera w powieści Prousta, zaczynające się od smaku magdalenki. Bardzo mi przykro, nie potrafię inaczej. Prosto mówią geniusze, mistrzowie, prosty lud coś tam zawile klaruje, często długo słuchasz, pytasz, a w końcu i tak nic nie rozumiesz. Geniuszem nie jestem, więc muszę zacząć od małego plastikowego pojemniczka, w którym oglądałem sobie coś, co raz wywaliła mi sprzątaczką, bo była pewna, że to zmieciny z podłogi.

Tak zwane elementy do montażu powierzchniowego to elektroniczne części w tak miniaturowym wykonaniu, że łatwo je pomylić z ziarnami piachu, okruchami błota czy innym brudem. Czasami mają wymiary ułamka milimetra, czym są, widać dopiero pod silną lupą. Jedną z ich cech jest naprawdę niska cena. Chcemy kupić - trzeba zamawiać w detalu po 100 sztuk, bo często sztuka stoi poniżej jednego grosza.

Druga istotna cecha: są produkowane w ogromnych ilościach. Trzecia: są niewiarygodnie niezawodne. Wadliwe sztuki zdarzają się raz na kilkanaście, nawet kilkaset milionów. Dzięki temu można z nich montować taką elektronikę, jaką znamy.

To ostatnie piszę, żeby pokazać ściśle techniczny aspekt technologii. Właśnie nie handlowy, ale techniczny: aby osiągnąć taką niezawodność, trzeba produkować miliardy sztuk. Inaczej nie trafimy na te okoliczności, które prowadzą do awarii.

Zaś o tym, że niezawodność w pewnym momencie staje się kluczem do tego, by urządzenie zadziało, wiemy z opowieści o początkach komputerów, gdy jeszcze pracowały na lampach elektronowych. Pojedyncza sztuka pracowała gdzieś na poziomie dziesięciu tysięcy godzin bez usterki. Radio zbudowane na kilku lampach działało najmniej kilka lat bez uszkodzeń. Ale komputer, w którym zamontowano ich tysiące, stawał co chwilę, z trudem udawało się utrzymać go przy życiu na tyle długo, by wykonał jeden program. Musiała powstać specjalna ekipa wyszukująca i wymieniająca felerne części. Szczególną cechą tych fachowców było to, że starali się pobić rekord w szybkości działania, bo inaczej maszyna cyfrowa byłaby prawie zawsze w remoncie.

Oczywiście usterki położyły kres ilości lamp w komputerze i tym samym mocy obliczeniowej. Gdybyśmy się nie nauczyli produkowania prawie bezawaryjnych części elektronicznych, nie byłoby współczesnej cywilizacji informatycznej. Nie ma zmiłuj.

Technologie chyba niezwykle rzadko nie mają tej kłopotliwej cechy: wymagają odpowiedniej skali, żeby działały. Podobno prawdziwe wiejskie jaja wymagają niewielkiego stada kur, niektóre sery ponoć nie udają się, gdy chcemy je produkować na setki kilogramów. Prawie zawsze jednak jest na odwrót. Działa dopiero wówczas, gdy produkujemy ogromne ilości. Wielki piec nie może być mały, nie można załadować mniej koksu i surówki, bo nie osiągnie odpowiedniej temperatury. A jak już wytopimy tę stal, to przecież trzeba ją komuś sprzedać.

Prawdopodobnie już w łupaniu kamienia był ten sam problem. Jakiś człowiek musiał poświęcić kawał życia, żeby nauczyć się dobrze wylupywać groty strzał i drapaki, więc nie miał czasu nauczyć się polować. Albo wylupywał dla większej grupy ludzi, albo nie miał szans robić tego dobrze.

Technologia wyznacza skalę, w jakiej odbywa się na przykład handel (wymiana) produktami. Czyli terytorium, które powinno być objęte podobnymi obyczajami. Choćby takimi, że nie rabujemy, tylko

grzecznie oddajemy łupaczowi kamieni skóry i mięso, a on w zamian daje nam produkty technologii kamienia łupanego. Jeśli wódz plemienia zarządzi, że z tymi zza potoku nie gadamy, bo se malują gęby na czerwono, a powinni na niebiesko, to nasz rzeźbiarz grotów może się wynieść w inną okolicę, bo nie będzie ryzykował przymierania głodem albo tego, że ktoś będzie go zmuszał do udziału w polowaniu.

Na przykład technologia SMD wymaga wielkiej skali produkcji. Jeśli ją ograniczymy, nie tylko wzrośnie pracochłonność, ale i nie da się osiągnąć pewnych istotnych parametrów, właśnie owej niezawodności na przykład. Na jakie terytorium powinna produkować fabryka takich elementów? Prawdopodobnie najlepiej na całą planetę, ale przynajmniej na obszar jednego kontynentu.

O tym, że to technologie piszą historię ludzkości, możemy przeczytać w większości podręczników historii. Zazwyczaj jednak nie wprost, ale pośrednio jest to napisane w sposób oczywisty. Mamy epoki tegoż kamienia łupanego, brązu i żelaza, mówimy wreszcie o epoce przemysłowej. Pewnie z tej przyczyny, że historycy nie wiedzą o technologii SMD. Nie są inżynierami i nie mają pojęcia, jaką tu by właściwą nazwę nadać okresowi. Wiek pary i elektryczności? Byłoby, ale właśnie to zbitka słów trochę skompromitowana przez miłośników SF.

Od tego wywodu jest krok do pytania, czy obecny podział administracyjny - na przykład Europy - koresponduje z produkcją tych elemencików, które wywaliła mi sprzątaczką? Oj, chyba nie tylko tu jest problem. Bo już dawno temu powstała Wspólnota Węgla i Stali (trwała od 1952 do 2002 roku). Słowo się rzekło: wielkie piece musiały być naprawdę wielkie, by działały.

To, że te piece muszą być wielkie, wymusiło w końcu przyjęcie wspólnej waluty. OK, może to zamazana przenośnia, gdy ją wprowadzano, w Europie już nie zajmowano się produkcją stali, uruchomiliśmy inne technologie, na przykład SMD, które zajęły miejsce hutnictwa. To poniekąd szczegół w całym procesie. Trzeba jednak sobie uzmysłowić, że oczywiście ojro to krok ku likwidacji państw narodowych.

Oczywiście ten proces został - można powiedzieć - założony na początku, miał skutkować integracją Europy, na końcu której państw w dzisiejszym rozumieniu nie ma. Czemu nikt nie lamentował, że trafi szlag cudowną kulturę francuską, niemiecką czy polską, gdy wstępowaliśmy do UE?

Nie dyskutowaliśmy o tym. Było takie założenie, że w warunkach dobrobytu dobre - czyli wspierające rozwój - cechy społeczeństw rozkwitną. Wyglądało na to, że w naturalny sposób ta nasza „narodowość” wyewoluuje w coś kompatybilnego z SMD i UE. Znajdzie się miejsce i dla zespołu Mazowsze, i dla Lutosławskiego czy Góreckiego, i „Symfonii pieśni żałosnych”. Będzie miejsce dla pewnej odrębności myśli politycznej, i nawet w technologii układów elektronicznych wypracujemy swoje specjalności, nie mówiąc o grze komputerowej Wiedźmin.

Skoro o apokalipsie, warto poświęcić kilka chwil temu, jak dochodzi do sytuacji, że znika cały naród czy cała populacja. A tak, mieliśmy takie przypadki, i to nawet bardzo dużo. Kolebka naszej cywilizacji, starożytna Grecja, całkiem wypadła ze świadomości Europejczyków. Za czasów średniowiecza zapewne wiedziało o niej kilku mnichów, nie mieli zielonego pojęcia mieszkańcy samej Grecji, i dowiedzieli się o niej dopiero w XIX wieku. Jeszcze skuteczniej wycięło starożytny Egipt. Straciliśmy znajomość ich pisma, kompletnie przepadła historia. Ale to dopiero początek, bo - jak się wydaje - państwa (może cywilizacje?) z Azji Mniejszej i okolic są dziś chyba dopiero w fazie odkrywania. Ze zdumieniem dowiadujemy się, że drobne 10-12 tysięcy lat przed naszą erą ludzie potrafili rzeźbić, że [istniały ośrodki kultu](#).

Te dawne narody zostały na tyle skutecznie wycięte z naszej świadomości, że chyba nie ma po nich nawet śladu w najstarszych legendach spisanych pismem klinowym. Nie ostało się kompletnie nic

poza... może technologią. Tak, nie mamy pojęcia, kto i kiedy dokonał odkryć zasadniczych dla nas do dnia dzisiejszego, np. że da się wytopić miedź z pewnych kamieni.

Tak czy owak, niewątpliwie mamy zjawisko znikania całych formacji kulturowych, wycinania do ziemi świadomości, że przynależało się do jakiejś kultury, stracenia całego dorobku kulturowego, przekazów, pisma i mowy.

Znam chyba tylko jeden przypadek, że domniemujemy fizyczne wyginiecie większej grupy ludzi. Przepadli wikingowie, którzy przybyli na Grenlandię dzięki staraniom [Eryka Rudego](#).

Pozostałe skąpe informacje na temat losów Osiedla Wschodniego. Tak zwane osiedle Zachodnie zostało opuszczone w tajemniczych okolicznościach wcześniej, gdy to Wschodnie jeszcze funkcjonowało. Ostatnie zapiski pochodzą z roku 1408 i potem nie wiemy nic o losach dzielnych wikingów na Grenlandii. Wydaje się najbardziej prawdopodobne, że nie wytrzymali ochładzania się klimatu, w wyniku którego niemożliwa stała się wszelka działalność rolnicza. Wydaje się oczywiste, że gdy długość cieplej pory roku stała się krótsza niż okres wegetacji owsa, będącego ponoć podstawą wyżywienia, ludzie po prostu musieli wyginąć z głodu. Choć przytomni historycy stawiają oczywiste pytanie: Czemu nie nauczyli się od Eskimosów polować?

Jeśli poczytać, to chyba wiemy, że polowali, temu zapewne służyło to Osiedle Zachodnie.

Nie zostały potwierdzone teorie o najazdach (najeździe) piratów, o wybiciu wikingów przez Eskimosów. Nie znaleziono nigdzie śladów walk czy pożarów, więc teoria głodowa byłaby najbardziej prawdopodobna. Gdyby nie możliwość, że zostali myśliwymi. A jeśli, to co? W opowieści o Osiedlu Zachodnim jest trop. Jednym z powodów jego opuszczenia miało być to, że mieszkańcy porzucili wiarę (chrześcijaństwo) i przyłączyli się tubylców. Jeśli tak się stało, to czy dziś jesteśmy stanie rozpoznać potomka wikingów na Grenlandii? Cóż... Bardzo prawdopodobne, że nawet badania DNA nic nam nie powiedzą. Po tylu latach populacja mogła się równo wymieszać i właśnie typowa pula genowa mieszkańca Grenlandii może zawierać jakiś procent spadku po wikingach.

Nie jestem nawet historykiem amatorem, lecz skłaniałbym się ku tej właśnie wersji wydarzeń. Zapewne był głód i choroby z nim związane, zapewne możliwe są jakieś dramatyczne wydarzenia (jak walki), ale najpewniej to, co zostało z społeczności kolonistów, przystało do tubylców i – jak mawiają humaniści – przejęło ich kulturę.

Napiszę pewnie coś obrazoburczego, ale moim zdaniem lepiej ilustrującego cały proces. Wikingowie, aby przeżyć, musieli poznać technologię Eskimosów, a o własnej zapomnieli, bo stała się bezużyteczna.

Dziś przyjmuje się, że podobny los spotkał neandertalczyka. „Rozpuścił” się on w populacji homo sapiens, który przywędrował z Afryki. Jeśli nawet jego technologia przeżycia wniosła jakieś wynalazki, niekoniecznie w postaci np. narzędzi, ale nawet przesądów czy wierzeń, tak dokładnie stopiła się z technologią przeżycia homo sapiens, że nie ma sposobu, by to odróżnić. Tak właśnie chyba wygląda zagadka zniknięcia neandertalczyka.

Nie bardzo chyba zdajemy sobie sprawę z tego, że za upadkiem Rzymu stoi faktycznie nieprzydatność rzymskiej technologii, np. budownictwa, z dala od Rzymu. Rzecz można opisać tak, że rzymska technologia w końcu przegrała z technologią różnych dzikich plemion. Po części technologią po prostu – budownictwo rzymskie zastąpiło romańskie wykorzystujące lokalne surowce – po części też z technologią zarządzania społeczeństwem. [Kiedys napisałem, że to najazd Wandalów na Rzym w 455 roku miał zakończyć walki gladiatorów.](#)

Ta historia, jak mi się zdaje, miała wiele etapów, przynajmniej od zakazu wydanego w 326 roku przez

Konstantyna Wielkiego. Jest to jednak pewien przyczynek do upadku imperium. Jak wyżej napisałem, zastępuję słowo „kultura” słowem „technologia”. Napiszmy dla skupienia uwagi „technologia (prze)trwania”.

Jeśli założymy, że w skład owej technologii przetrwania wejdą także obyczaje i wierzenia oraz stosunek do drugiego człowieka, faktycznie niewiele nam zostanie z tego, co nazywamy kulturą (poza nowym określeniem). Lecz dla spokoju ducha zauważmy, że kultura nie określa celu swego istnienia, nie potrzebuje tego. Jeśli piszę „technologia przetrwania”, to powiedzmy że chodzi o utylitarne spojrzenie na kulturę. Jak służy ona – lepiej lub gorzej – przetrwaniu. Jeśli na przykład stosunek do drugiego człowieka sprzyja usuwaniu napięć w społeczeństwie, to wszystko lepiej działa. Od teatru i tworzenia prawa po produkcję zboża.

Kultura rzymska – wielka, wyrosło z niej wszak rzymskie prawo – po której zostały wspaniałe zabytki, legenda imperium, miała chyba w sobie głęboką sprzeczność, chorobę, która nieuchronnie prowadziła do śmierci, o ile błędu nie uda się usunąć. A mianowicie przedmiotowy stosunek do człowieka. Wiele stuleci po upadku Rzymu Charles-Maurice de Talleyrand, człowiek, któremu obce były tak zwane ludzkie uczucia, miał powiedzieć: „Za pomocą bagnatów można robić wiele rzeczy z wyjątkiem jednej – nie można na nich siedzieć”. Być może autorem innej wersji tej mądrości jest Lew Dawidowicz Trocki. To o tyle ważne, że największe sukinsyny, zbrodniarze bez uczuć, po stuleciach dobrze rozumieli ów feler. Rozumieli to kapitaliści w budujących się Stanach Zjednoczonych, gdzie na południu na plantacjach bawełny wykorzystywani niewolnicy, pozbawieni wszelkich praw, pracowali nawet mniej niż za połowę tego, ile pracował wolny biały robotnik w stalowniach na północy. Na ile jest udokumentowane to, że Genzeryk, wódz Wandalów, wykorzystał w swej propagandzie przeciw Rzymowi urządzenie walk gladiatorów, nie wiem. Tu i ówdzie autorzy piszą o tym. Prawa człowieka to technologia. Niepotrzebna etyka do uzasadniania.

Prawda czy nie, łatwo można sobie wyobrazić, że mógł być to wygodny pretekst do przedstawienia Rzymian jako barbarzyńców lubujących się w zbrodni. Przepiękny materiał dla wojennej propagandy.

Na ile słuszne będzie stwierdzenie, że rzymska technologia przetrwania okazała się nie dość dobra w konfrontacji z nowymi, którą miały otaczające Cesarstwo plemiona? Osobna sprawa. Fakt natomiast jest taki, że nie wytrzymała i zmiany państwowej religii, i zmian w tych technologiach, które tak nazywamy tradycyjnie. Lecz chcę pokazać coś może obrazoburczego. To, co widzimy jako upadek państwa, całej kultury, jako zagładę, tak naprawdę jest wymianą technologii przetrwania na sprawniejszą.

Dlaczego Polska przetrwała ponadwiekowe zabory? A tak, dokładnie, wytrzymała to „polska technologia przetrwania”. Ano, nie spodziewałbym się, że Rosjanie byli w stanie zaserwować coś mądrzejszego niż już znaleźliśmy. Reguły zarządzania społeczeństwem dla właścicieli ziemskich, zwykle szlachty, jakie narzucali zaborcy, były wieloma krokami wstecz wobec tego, czym była Rzeczpospolita przed rozbiorami – rodzajem szlacheckiej republiki. Prawdopodobnie tak to postrzegali tzw. polscy patrioci z XIX wieku. O ile oczywiście to narodowe zmartwychwstanie nie jest w lwiej części narodowym mitem. O ile nie staliśmy się dość przypadkowym produktem parcelacji Europy przez mocarstwa, jak przydarzyło się to Czechosłowacji.

Tym niemniej widzimy takie zjawisko jak naród polski, bo mamy nie tylko administracyjne granice, ale tę własną technologię przetrwania. Na przykład potrafimy sobie poprawić humor nie tylko półlitrem, ale choćby oglądając film „Rejs”, czytając Stanisława Lema (ktoś go jeszcze czyta?) albo oglądając polskie komiksy.

Bynajmniej myśl, że ów naród Polski może nam zniknąć z pola widzenia jak wikingowie w Grenlandii, nie jest tak ściśle powiązana z politycznymi wydarzeniami, jak narzuca to temperatura sporów.

Albowiem nie należy mylić objawów z chorobą. To, że np. PiS objął rządy, jest wynikiem czegoś o wiele bardziej podstawowego. A mianowicie tego, jaką technologią trwania (czy przetrwania) mają w głowach ludzie tu mieszkający. Warto też zrozumieć, czym jest zjawisko nazywane nacjonalizmem, kim są ci, którzy je firmują.

Wyczytałem wiele razy mądre diagnozy, że owi nacjonaści nie mogą tworzyć międzynarodowej wspólnoty. Otóż tworzą. Niemieccy neofaszyści kumają się z polskimi tak zwanymi narodowcami, skrajni w deklaracjach nacjonaści włoscy spotykają się z podobnymi sobie z całej Europy. Choć „międzynarodówka nacjonalistów” jest oksymoronem niejako z definicji, to jednak funkcjonuje. Dlaczego?

Na przykład polskie środowiska tegoż autoramentu za przewodnika biorą sobie Dmowskiego. Zaś jego najważniejsza myśl chętnie cytowana brzmi: „Jestem Polakiem, więc mam obowiązki polskie”. Cokolwiek tam dalej napisał, jakkolwiek chce się to dziś tłumaczyć, gwałtem ciśnie się inny cytat, innego – tym razem naprawdę wielkiego – Polaka o światowym formacie, który sformułował to dobitniej i prościej: „Dobry (uczynek) to jak Kali zabrać komu krowy”.

Coś mi się zdaje, że to jest istota ruchów nacjonalistycznych. Im wszystkim tak naprawdę doskwiera element europejskiej technologii przetrwania, który nakazuje przestrzeganie jakiegoś prawa, nie podobają się te zasady, że źle zabrać krowy, niezależnie kto i komu. Nazwa narodu jest nieważna, najważniejsze, że nie możemy działać, bo za łupienie wsadzają do paki. W rzeczy samej mamy międzynarodówkę w komunistycznym znaczeniu, bo te ruchy od anarchistów czy komunistów różnią się tylko znacznie mniejszym stopniem usystematyzowania, tu nikt jeszcze nie odważył się głośno powiedzieć, że należy zawiesić prawo własności, ale sedno jest to samo. Najważniejszym wrogiem jest państwo prawa, zasady takie jak „Paktów dotrzymywać!”.

W myśli nacjonalistów nie doszukamy się dość narodowej odrębności, by się nie mogli dogadać. Problemy zaczęłyby się dopiero wówczas, gdyby zaczęli realizować swoje pomysły na poziomie krów sąsiadów. Póki co nie ma przeszkód, by tworzyli międzynarodówki.

Coś mi się zdaje, że taką wizję technologii przetrwania bliską Kalemu ma znaczna część mieszkańców Europy. Szeroko pojęty lud jest w istocie kosmopolityczny. Obce mu są potrzeby oglądania filmu „Rejs”. Czy śpiewa zespół Mazowsze, czy Chór Aleksandrowa – wsio adno, pod śledzika i tak najlepszy jeden głębszy. Poniękad bardzo banalna obserwacja. Przypomnijmy, że państwa narodowe to dość niedawny wynalazek, koniec wieku XVII i początek XIX.

Wydaje się, że na przykład bariera językowa faktycznie uniemożliwi znik narodu polskiego. Mogłem się przekonać na konkretnych przypadkach, że w praktyce w sytuacji, gdy delikwent nieznający języka angielskiego po wyjeździe do strefy, gdzie panuje ciut lepsza technologia przetrwania od naszej polskiej, po kilku latach nie był zdolny do powrotu do kraju.

Jeśli kiedyś byłem przekonany, że nie ma problemu roztopienia się Polski w europejskim kotle, to przez wiarę w te pierwiastki naszej technologii przetrwania, które znają i rozumieją tak zwane wykształciuchy. Lecz gdy ci patrioci odstawiają wykształciucha w kąt, nie ma już komu kultywować dziwnych polskich obyczajów mówienia cytatami z kabaretu Dudek, książek Macieja Wojtyszki, Stanisława Lema, słuchania „Krzesanego” Wojciecha Kilara, reagowania na komiksową postać Tytusa de Zoo. Co więcej, ów wykształciuch, gdy ma w perspektywie uchwalenie prawa Kalego, woli zaorać wszystko.

Przykład? Stosunek do efektu cieplarnianego. Przed objęciem rządów przez PiS wszystkich Polaków łączył dystans do tej sprawy. Potem wykształciuchy doszły do wniosku, że lepiej dołączyć do grona alarmistów. Bo to pomoże zaorać tzw. nacjonalistów czy tzw. prawicowców.

Do wróżenia końca narodu polskiego przydatne się zdają na przykład zmiany językowe czy znajomość i potrzeba konsumowania kultury. Tak, jesteśmy na etapie pol-anglo. Całkiem niedawno zaskoczył mnie pewien Irlandczyk – jak po polsku nazywa się „bias”? To termin elektroniczny, coś tam znaczy, ale ważne, że się zacukałem. Bo nie jest to poziom odcięcia. Większość zna pewnie i przykłady, i parodie bełkotu handlowo-marketingowo-informatycznego, gdzie angielskie czasowniki dostają polskie końcówki oraz ewentualnie w zdaniach mamy incydentalnie polskie czasowniki czy spójniki, a całości nie rozumie ani Anglik, ani Polak.

A tak mamy unifikację kultury, oglądamy te same filmy, czytamy tego samego Harry’ego Pottera. Ale to wszystko mogą być równie dobrze nieuchronne zmiany, jakie zachodzą w każdym narodzie, w każdej kulturze.

Nie powiem, że to ważniejsze, ale zauważmy, że środowiska mieniące się prawicowymi czy narodowymi ogłosiły stan trwogi (albo oblężenia). Posłuchajmy biskupów, posłuchajmy polityków, którzy głównie są przeciw. To, że strony zwanej narodową (niekoniecznie narodowców) czy tzw. kręgów katolickich słychać głównie o tym, jak się bronić przed zmianami, to znak, że w ich pojęciu całą polską technologię (prze)trwania musimy czym prędzej wynieść do Okopów Świętej Trójcy. Zawrzeć bramy, wystawić strażę i czekać szturm. A najlepiej porzucić miasto i od razu zamknąć się w Górnym Stołpie.

To oczywiste, że nieunowocześniana technologia szybko stanie się kompletnie nieprzydatna. Nawet gdy dla niepoznaki nazywamy ją kulturą lub tożsamością narodu. Ów „bias” trzeba jakoś przyswoić, także i „serwerownię”, bo inaczej nas zhakuja i na tytułowej stronie zamiast godła znajdzie się goła panienka. Jeśli nie ma koncepcji, jak oswajać postęp, to nie masz nadzieje. Bo gdy się zamkniemy w Górnym Stołpie, to w istocie już tylko czekamy, kiedy oblegający się wedrą albo zjedzą nas myszy.

Jest tym gorzej, że nie ma żadnego Górnego Stołpu ani okopów. Stosunki między tymi, co ogłosili trwogę, a na przykład Brukselą przypominają malowniczą interakcję kelnera z pomywaczem. Chłopak owszem, pracuje, ale płucze talerze w brudnej wodzie i jeszcze rozgłasza innym podręcznym, że tak właśnie trzeba. A pryncypał obserwuje. W pewnym momencie z zaplecza dobiega głośne plaśnięcie i wrzask. Po czym wszyscy widzą, jak pomywacz pędzi z wiadrem do studni po wodę i mało nóg nie pogubi.

Mam wrażenie, że panuje pełny konsensus co do tego, że typowo polski pomysł na przyszłość to płukanie talerzy w brudnej wodzie. Tak uważają i moderniści, i wykształciuchy, i frakcja umownie narodowa. Obie zgadzają się również, że i tak w końcu będzie chlast i wrzask, a do studni trzeba będzie koniecznie popędzić. Różnica jest może tylko taka: moderniści są zdania, że skoro finał jest nieuchronny, lepiej może spokojnie zawczasu wymienić wodę. Ale to detal.

Jest powszechna (obopólna?) zgoda na to, że dla polskości nie ma przyszłości. Nie da się tego czegoś przystosować do technologii SMD. Tak naprawdę obie strony różni tylko dopuszczalny poziom prostactwa w komunikacji z wyborcą.

Nasza polska fantastyka ma dobre tradycje w tworzeniu obrazów apokalipsy. Długo nie mogłem się wyzwolić od wizji, którą opisał Tomek Pacyński we „Wrześniu”. Lodowiec, który kładzie kres wszystkiemu, jest chyba najbardziej ostatecznym rozwiązaniem, jakie można wymyślić. Gdy sobie pogrzebiemy w książkach, dostrzeżemy, że te nastroje kręciły się nad wieloma piszącymi; oni wyczuwają, że coś w powietrzu wisi.

Jest duża pokusa by nakreślić wizję skali przynajmniej zniknięcia wikingów na Grenlandii. A tak, za mojego życia prawie zniknęły gwary góralska i górnośląska. Zniknął lwowski zaśpiew we Wrocławiu. Na kilka lat niczym dźwięk echa wróciła moda na wschodnie korzenie, lecz wściekła bijatyka

zamordowała ją. Młodzi nie chcą wracać do tak zwanych korzeni, ponieważ korzenie owe ustawiają ich w kontrze do współczesności. Lepiej więc o nich zapomnieć.

To prawda, że Czesi od klęski pod Białą Górą w 1620 roku w zasadzie uchwali swój język. Co prawda mówiło nim część mieszkańców kilku wiosek, co prawda czeski był rekonstruowany i są tacy, co piszą, że został całkiem utracony, ale – jak się zdaje – musi minąć kilkaset lat.

Że w warunkach technologii SMD takie procesy idą piorunem, mogłem się przekonać na własne oczy i uszy. Aby zacząć bełkotać owym pol-anglo, wystarczą miesiące. Co gorzej, delikwent traci zdolność do sformułowania tego samego po polsku. No bo jak brzmi po polsku ów „bias”?

Jednak nie tu jest problem. To, co decyduje, dzieje się już dziś na poziomie moim zdaniem o wiele bardziej podstawowym. To przeciwstawianie polskości i współczesności. Nie wiem, ile w tym prawdy, że w jakimś nowym podręczniku chemii zamiast wiedzy (inna sprawa, czy poprawnej politycznie i w jakim sensie) o efekcie cieplarnianym znalazła się modlitwa o deszcz. Prawda czy nie – zjechaliśmy do tego poziomu. Otóż jesteś Polakiem i otrzymałeś polską technologię rozumienia świata. Sięgasz do niej i znajdujesz katastrofę smoleńską, Bolka, walkę z LGBT. A szukałeś SMD. Ni(e) ma. Orientujesz się, że ten pakiet narodowy jest przyczyną kłopotów i do niczego nie pasuje, w niczym nie pomaga, a za to sprawnie może wpuścić w maliny. Jeśli zaproponujesz współtowarzyszom pracy we Francji przy zbiorze winogron modły o deszcz, to możesz liczyć jedynie na tę ich słynną europejską tolerancję.

Sprawdzisz, że niemożliwa jest aktualizacja – i czym prędzej odinstalowujesz ów pakiet ustawień lokalnych, niezależnie od tego, na kogo głosowałeś.

Nie sądzę, by się miały dziać jakieś dramatyczne rzeczy. Będzie jakaś administracyjna forma Polski, będziemy przyznawać nagrodę Zajdla, a skoro tyle wytrzymał, pewnie będzie i Fahrenheit. Jacyś narodowcy będą żądać zwrotu wraku, zakazu LGBT i weganizmu. Będą rzucać petardy, odpalać race i drzeć się „Poland for Poles”. Nawet jeśli któryś będzie pamiętał coś z języka rodziców, to wstyd się odzywać w lokalnej gwarze, a jeszcze koledzy nie zrozumieją i obiją...

Adam Cebula